

Jeske-Choiński Teodor

NA KOSOWEM POLU

OPOWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBJI W 14-YM WIEKU

I.

Lichy zwykle, do północnego stoku gór przyczepiony Pryzreń, stara stolica Serbji, rozbrzmiał szczękiem oręża.
Ze wszystkich stron Serbji, z północy i południa, ze wschodu i zachodu ciągnęły zbrojne hufce książąt i wojewodów do stolicy króla Łazarza. Bo tej stolicy zagrażał cesarz Turcji Amurat Pierwszy, władca potężny i szybki w czynie. Trzeba się było śpieszyć, aby powstrzymać olbrzymią falę różnobarwnych tłumów, spadającą w równinę z gór, które oddzielały Serbję od panowania Turków. Nie po raz to pierwszy wyciągał Amurat pożądaną rękę po Serbję i inne ziemie słowiańskie. Twórca potęgi tureckiej stukał już przed kilku laty mieczem do bram królestwa serbskiego, ale przezorność króla Łazarza i waleczność jego rycerstwa złamała ten groźny miecz. Klęski tej nie mogła strawić obrażona duma potężnego władcy, który wtargnął do Europy, aby

podbić wszystkich chrześcijan. Więc wzmocniwszy przetrzebione
wojska wielką
liczbą „janczarów”, ruszył po raz wtóry na „niewiernych”.
Zrozumiał król Łazarz, że przeciwko licznemu nieprzyjacielowi trzeba
wystawić
taką samą siłę. Gdy do Przrenia doszła wiadomość o zbliżaniu się
Amurata,
rozesłał gońców do swych słowiańskich sąsiadów. „Śpieszcie na
pomoc, — prosił, —
albowiem moja klęska będzie także waszą.”

* * *

Na wieżach katedry przyreńskiej rozkołysały się dzwony. Uroczysta
ich, śpiżowa
mowa rozlewała się szerokim kołem, wzywając Serbów do
modlitwy, do prośby o
zwycięstwo.
W kościele czekał już patrijarcha Efraim, otoczony licznym
duchowieństwem. Po
prawej stronie ołtarza zasiadł na tronie król Łazarz z królową Milicą.
Obok
tronu stanęli jego zięciowie, Miłosz Obylic i Wukas Branko wić, z
żonami, Marją
i Wukasową. Piękna była Marja, ale piękniejsza od niej Wukasowa.
Narodowa chorągiew Serbji, pamiętająca jeszcze wielkiego króla
Duszana,
powiewała nad tronem. Trzymał ją mocną ręką wojewoda Obylic.
Była to wielka
świętość dla Serbów. Pieśniarze serbscy opowiadali narodowi, że
chorągiew tę
znieśli na ziemię aniołowie z nieba.

Po lewej stronie ołtarza zasiedli na ławach, wybitych purpurowym
suknem,

sąsiedzi Łazarza. Stawili się na jego wezwanie. Przybył ze swem rycerstwem

Twartko, księżę Bośni, przybył Balza, pan Albańji, i Kastrjota skodarski.

Jedynie tylko Szyszman bulgarski nie mógł opuścić swego państwa. Cesarz Amurat

wtargnął już do Bułgarji. Zamiast przyjechać, Szyszman przysłał na naradę

pryzreńską swego powiernika.

Na stopniach ołtarza stanął patryjarcha Efraim, zwrócony twarzą do książąt i

rycerzy. Osiewiały w służbie Bożej starzec, gorliwy kapłan i mąż szlachetnego

serca, uwielbiany w całym kraju, splótł ręce na piersiach i modlił się w

skupieniu. Usta jego drgały, ze zmrużonych powiek ściekały wolno perły łez.

Westchnął, spojrział na krucyfiks i zaczął mówić:

— Spada znów na nas dopust Boży, wali się horda bisurmańska, grożąc zalaniem

naszych gór i równin, naszych grodów i wiosek. Za ciasno Turkowi w Azji —

rozległych dzierzaw pożąda. Za mało mu panowania nad owczarnią Mahometa — na

wszystkich chrześcijan pragnie zarzucić pęta niewoli, aby padali do jego stóp i

służyli mu z uległością karconych psów. Drażni jego ucho poważny dźwięk dzwonów

chrześcijańskich — woli przenikliwy głos swoich kapłanów,

wzywający muzułmanów z

wież świątyń

tureckich do modlitwy. Chępi się, że głos ten zmusi do milczenia wszystkie

dzwony domów (Hrystusa Pana. Już chwieje się Carogród*) już drży dolna Albańja.

Teraz przyszła kolej na Serbję i jej sąsiadów.
Zamilkł i obrzucił wzrokiem zgromadzonych rycerzy. Cicho było w kościele, jak w lesie przed burzą. Tysiące rozżarzonych zapalem oczu wpiły się w postać patryjarchy. Wszyscy pragnęli dalszych jego słów. I jego oczy rozgorzały teraz płomieniem wewnętrznego ognia, a głos., dotąd stłumiony, podniósł się, wzmocnił, runął gromem na książąt.
— Dziećmi jednej matki jesteście, — wołał, — a zachowujecie się często względem siebie, jak urodzeni wrogowie! Zamiast trzymać się za ręce i iść zawsze razem, gdy jednemu z was grozi niebezpieczeństwo, zazdrościcie sobie nawzajem zwycięstw, władzy, obfitszej ziemi. Zrozumieścież nareszcie, że klęska jednego z was jest klęską wszystkich. Powoli będzie was sułtan Amurat łamał: dziś Serba, jutro Bulgara, pojutrze Bośniaka, Albańczyka i tak dalej, aż skruszy wszystkich.
Chcecież, aby wasze córki szły do

„haremów” gwoli zabawie bisurmanów? Chcecież, aby wasi synowie wzmacniali hufce janczarów, najwierniejszych psów władcy mahometan? Wyrzucicie z siebie ową nieszczęsną niezgodę, ową truciznę, która zabija nasz cały lud słowiański, naszą przeszłość i naszą wiarę! Oto stojimy przed chwilą stanowczą! Zgoda braterska pomoże nam zdruzgotać wojska bisurmańskie, niezgoda ciśnie nas w proch niewoli! Przysięgnijcie, że pójdziecie ramię przy ramieniu na nieproszonego najezdcę, a Bóg Wszechmocny pobłogosławi waszemu orężowi!

— Przysięgamy! — odpowiedzieli książęta i wojewodowie, dobywszy mieczów. —

Przysięgamy bronić ziemi przodków aż do ostatniej kropli krwi naszej i naszego

rycerstwa! Przeklętym niech będzie na ziemi i niebie po wszystkie czasy każdy,

ktoby stchórzył na krwawem polu!

Błyski szczerego zapachu i szczerzej prawdy tryskały z oczu wodzów.

Jeden tylko

wojewoda, zięć królewski Wuk Branković, milczał, kłując swego szwagra, Miłosza

Obylicia, nienawistnem z pod czoła spojrzeniem. A małżonka Wuka, starsza córka

królewska, przygryzała wargi, pochyliwszy głowę. Znani z pychy i zawiści byli

oboje, po zaszczyty i władzę wyciągali łakome ręce.

Miłosz Obylic trzymał nad tronem chorągiew narodową.

Wyróżnieniem tem obdarzali

królowie serbscy tylko najzasłużeń-

szych i najbardziej w kraju szanowanych wojewodów.

— Jakim prawem wyróżnił król w obliczu wszystkich książąt

Miłosza, pomijając

mnie? — gniewał się w duchu pełen pychy Branković. — I jam przecież jego

zięciem, i moje ramię nie słabnie na polach bitew, a oczy nie tracą bystrości

orła!

— Dlaczego zepchnął mnie nas; ojciec na drugie miejsce obok tronu?

— myślała z

zawiścią w sercu wojewodzina. — I jam jego córką, a córką starszą.

Mnie to

należało się pierwszeństwo!

Zapał wojenny ogarnął książąt, wojewodów i rycerzy tak jaskrawym płomieniem, iż

nie zwracali uwagi na to, co się dokoła nich działo. Nikt nie dostrzegł

mściwych, stalowych błysków w źrenicach Brankowicia i drgnień
zawziętości na
ustach jego małżonki. Nikt nie spójrzył na nich.
Jeden tylko rycerz, oparty plecami o ścianę, zatrzymał na nich wzrok,
prześlizgujący się z głowy na głowę, począwszy od króla Łazarza aż
do ostatniego
wojewody. To spójrzenie bystre, przenikliwe, sięgające do głębi duszy
ludzkiej,
przesuwało się pomału, badawczo. Zatrzymawszy się na twarzach
Brankowicia i jego
małżonki, błysnęło zadowoleniem jakby mówiło: znalazłem, czegom
szukało...
Kim był ten rycerz? Miał na sobie suknię i zbroję serbską, zegnał się
po
chrześcijańsku, jak wszyscy w kościele, ale wy-

datne rysy wschodnie jego twarzy nie miały w sobie nic
słowiańskiego.
Powoli, ostrożnie, odczepiwszy się od ściany, cofnął się ku drzwiom
katedry. A
gdy znalazł się na ulicy, mruknął;
— Głupie „giaury"! Nie poznali wiernego sługi Ałłacha i jego
proroka, Mahometa.

II.

Wojewodzina Wukasowa siedziała w ogrodzie zamku przyrzeńskiego
na ławie
kamiennej. Głowę opuściła na piersi, podnosząc ją od czasu do czasu.
Ile razy ją
podniosła i spójrzała na dom, w którym stała przed laty jej złocona
kołyska,
migał w jej oczach stalowy błysk nienawiści i zacinały się jej wązkie
usta. Zły
duch zapalał te stalowe błyski i sączył truciznę w te zacięte usta,
szepcząc:

— Długoż jeszcze będziesz znosiła zniewagę twojego męża, która spada także na ciebie? Najstarszą córką królewską jesteś, małżonką walecznego wojewody, a spychają cię na siary koniec rodziny. Nie przed tobą bije pokłony rycerstwo dworskie, nie twojego męża zdobią zaszczyty. Obylic i jego żona, Marja, gaszą blask twoich przywilejów starszej królowy. Pokaż, że jesteś córą władców, że potrafisz usunąć tych, co ci w drogę wchodzą!... Czarne myśli przemknęły po gładkiem, białem czole wojewodziny, zostawiając po

sobie głęboką brózdę nad jastrzębim nosem.

— Usunąć, ale jak? — rozmyślała. — Za Obyliciem stoi cały naród serbski, a

Brankowicia popiera tylko jego województwo.

Była tak głęboko pogrążona w myślach, iż nie zauważyła zbliżenia się jakiegoś

mężczyzny. Spozrzegła go dopiero wtedy, kiedy stanął tuż przed nią..

— Wy kto i z czym przychodziecie!? — zapytała szorstko.

— Przed Waszą Miłością stoi szczery wielbiciel rozumu i urody najstarszej córy

prześlawnego króla Łazarza. Z dobrą radą przyszedł.

Zdziwiona spojrzała wojewodzina na nieznanego wielbiciela.

Widziała już tego

człowieka, nie mogła sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy. Mówił po serbsku,

ale jego mowa, przepleciona gęsto gardłowymi dźwiękami, brzmiała chropowato. Z

krwi serbskiej nie pochodził.

— Kto jesteście? — zapytała powtórnie.

— Nietylko wielbicielem, ale także przyjacielem Waszej Miłości. A przyjaciela

boli, gdy widzi na zachmurzonym czole, które powinna zdobić korona królewska,
troskę i słuszny gniew obrażonej dumy. Rozkażcie, a pomogę wam usunąć z drogi
waszych pragnień wojewodę Obylicia.
Mówiąc to, pochylił się nieznajomy, jak lis gotujący się do skoku. Błyski lisiej
przebiegłości zamigotały w jego czarnych, przymkniętych oczach.

Wojewodzina spojrzała na niego zdziwiona. Jaką drogą wśliznął się ten człowiek
do najskrytszych tajników jej myśli?
On obejrzał się ostrożnie dokoła, potem zbliżył się do wojewodziny i mówił
szeptem:
— Najjaśniejszy, najpotężniejszy padyszach *) Amurat byłby bardzo zadowolony,
gdyby na tronie serbskim zasiadł wojewoda Branković. Ceni on waleczność małżonka
Waszej Miłości i pragnie zawrzeć z nim przymierze przeciw książętom Bułgarji,
Bośniji i Albanii. Znając mężki rozum i mężką wolę Waszej Miłości, spodziewa się,
że pomożecie jego zamiarom. Najjaśniejszy, najpotężniejszy padyszach umie być
wdzięcznym.
Słuchając z wyteżoną uwagą kuszącej mowy nieznanego człowieka, przypominała
sobie wojewodzina wszystkie twarze mężkie, które przesunęły się w ostatnich
czasach przed zwierciadłem jej oczu. Nagle błysnęło w jej pamięci. Tak, to był
ten sam rycerz, który kłuł ją swoim badawczym wzrokiem w kościele tak natrętnie,
iż spojrzała na niego urażona. Któżby się mógł spodziewać, że do świątyni

chrześcijańskiej wśliźnie się niepostrzeżony przez nikogo powiernik,
szpieg
cesarza tureckiego? Odważnym aż do zuchwalstwa musiał być ten
bisurmanin!

— Karkołomną drogą przybyliście do nas, — rzekła. — Gdyby was
nasze straże
poznały, zawiślibyście na szubienicy.

— Padyszach rozkazuje wyznawcom Mahometa, a wyznawcy
Mahometa spełniają bez
namysłu wszystkie jego rozkazy, choćby prowadziły na szubienicą!

— odpowiedział
szpieg. — Szubienica zresztą, lub inny rodzaj śmierci nie przeraża
muzułmanina.

Hańbę i ból tej ziemi wynagradzają mu rozkosze w raju. Czy prośba
najjaśniejszego padyszacha i jego obietnica znalazły drogę do
przekonania Waszej
Miłości?

— Obietnice władców bywają najczęściej wędką na łatwowiernych,
— zauważyła
wojewodzina.

— Wiara nasza zabrania nam kłamać, — odrzekł nieznajomy. —
Słowo padyszacha równa
się dokonaniem czynowi. Ałłach odepchnąłby od bram raju
muzułmanina, któryby
splamił duszę brudem kłamstwa.

— Nie chcę podejrzewać obietnicy sułtana Amurata, ale nie widzę
sposobu, któryby
mógł zdruzgotać pychę wojewody Obylicia. Dostęp do niego trudny.
Otocza go znane
z odwagi i uwielbiające go rycerstwo. Sztylet, trucizna, lub
skrytobójcza napaść
nie dosięgną go.

— Czego nie zmoże siła, to zdruzgocze rozum, — rzekł szpieg
turecki. — Trzeba
zmusić Obylicia do rozprawy rycerskiej z małżonkiem Waszej
Miłości. A wiadomo

przecie, że wojewoda Brankowić zwyciężał

zawsze wszystkich rycerzy, z którymi walczył w pojedynkę.

— Zmusić go do takiej walki z Brankowicem, ale jak? — pytała wojewodzina.

— Moim obowiązkiem zapędzić Obylicia w taką matnię, iż nie będzie mógł z niej

się wydostać. Wystarczy rozrzucić po królewskiej stolicy wiadomość, że Obylic

nachyla życzliwe ucho na podszepty wysłańców padyszacha, obiecujących mu tron

serbski, aby go zmusić przed bitwą do walki z małżonkiem Waszej Miłości. Rzeczą

Waszą podniecić słusznie podrażnioną miłość własną wojewody Brankowicia i

zapalić w jego walecznej piersi płomień nieprzejednanej nienawiści, bo tylko

taka nienawiść zwycięża.

— Wątpię, czy wasz podstęp odniesie skutek pożądany, — odezwała się wojewodzina.

— Obylicia obroni wiara narodu w jego miłość ojczyzny i nieskazitelność.

— Padyszach nie wysyła swoich ludzi na zwiady bez worków pełnych złota, a złoto

bywa w tłumie mocniejsze od wiary w nieskazitelność wojewodów,

— odpowiedział

szpieg, uśmiechnąwszy się chytrze.

Szelest zbliżających się kroków spłoszył go. Pokłoniwszy się do stóp wojewodziny, rzucił się w zarośla i znikł.

III.

Dziwiło się Pole Kosowe niezliczonym szeregom zbrojnych mężów,
które zalały jego
urodzajną równinę. Dotąd widziało tylko po obu stronach rzeki
Sytnicy aż hen
daleko, od Mitrowic do Neredymji, stada pasących się owiec, krów i
spokojnych
rolników. Teraz znikły stada z łąk, a rolnicy zamknęli sochy w
skopach,
zamieniwszy je na oręż.
Po obu stronach Sytnicy rozłożyły się wojska króla Łazarza, jego
wojewodów i
sprzymierzeńców. Lewe skrzydło zajął Wuk Branković, prawe
Miłosz Obylic, w
środku stanął sam Łazarz, tyłów bronili bośniacki Twartko i Kastrjota
skodarski.
Balza albański wysunął się naprzód, aby pomódz bułgarskiemu
księciu Szyszmanowi,
który brał się już w górach za bary z Turkiem.
Pokotem na miękkim posłaniu bujnych łąk leżeli żołnierze,
odpoczywając po
szybkim pochodzie. Nie mieli potrzeby otulać się w kołdry, bo
czerwcowe słońce
rzucało na nich potoki gorących promieni. Przywykli zresztą do
śniegów i mrozów
w niebotycznych górach, zahartowani w kleszczach ciężkiej pracy,
znosili
wszelaki trud bez szkody dla zdrowia. .
Tu i ówdzie bielily się namioty, na których powiewały chorągwie
książąt i
wojewodów. Spoczywali w nich wodzowie. Od

czasu do czasu zakradał się pod białe płótna wiatr górski, a wówczas
rozdymały
się namioty i stawały się podobne do łabędzi z rozwiniętymi
skrzydłami.

Ciszę wypoczynku przerwał głos rogów. To trębacze króla Łazarza wzywali książąt na naradę wojenną. Właśnie przybył goniec bułgarskiego Szyszmana z prośbą o śpieszną pomoc. Turcy bowiem wypierali już jego drużyny z przesmyków górskich, grożąc mu klęską. Ukazał się pierwszy Twardko bośniacki. Pokłoniwszy się królowi, zaczął mówić głosem przyciszonym: — Zanim zejda się wodzowie, chciałbym zwrócić uwagę Waszej Wysokości na dziw-ne wieści, krążące w obozie od kilku dni. Jakiś wrogi nam, zły duch uwziął się widocznie na ziemię słowiańską, bo nie chce mi się wierzyć, żeby wojewoda Obylic, ten prawy rycerz i żarliwy chrześcijanin, mógł nachylać ucha na zdradzieckie podszepty bisurmanów. Już w Pryzreniu mówiono o jego tajnych schadzkach ze szpiegami Amurata. Jak gdyby strzała utkwiała w jego sercu, zerwał się król z krzesła. Potworna wiadomość zamknęła mu usta, pochwyciwszy za gardło ręką okrutną. Po dłuższem milczeniu odetchnął z głębi piersi i rzekł głosem zdławionym: — Niech Bóg sprawiedliwy ukarze ogniem piekła tego łotra, który nie sroma . się obrzucić błotem podejrzeń czystej du-

szy Miłosza Obylicia. Miłosz zdrajcą narodn!? Tylko jakiś jadowity gad mógł wypluć z cuchnącej paszczy takie oskarżenie! Tajni stróże mojego dworu wytropią tego zbrodniarza!

— Daremnie by się wysilali, — rzekł Twartko. — Na pierwszą wieść o zdradzieckich zamiarach Obylicia, rozesłałem moich strażników po mieście, ale żaden nie dotarł do źródła oszczerstwa. Każdy z badanych plotkarzów powoływał się na drugiego, drugi na trzeciego i tak dalej wkoło. Nikt nie umiał wskazać twórcy tej wieści. Zręcznym musi być lis, który kopie dołki pod Obyliciem. Moglibyśmy nie zważać na jego krecią robotę, gdyby ta robota nie była wpłynęła na usposobienie wojska. Zauważyłem jednak, że ludzie Brankowicia spoglądają zezem na drużyny Obylicia i odwrotnie. A nam potrzeba zgody. To samo, co mówił Twartko, powtórzył Balza albański. I on słyszał o zdradzie Obylicia. Król Łazarz osunął się ciężko na krzesło. Oparłszy głowę na dłoni, szeptał głosem cichym, jakby rozmawiał z sobą: — Ludzie Brankowicia spoglądają zezem na drużyny Obylicia i odwrotnie! Wynika z tego, że źródła ohydnej wieści trzeba szukać w obozie jednego z nich. Ale którego? Nieszczęsnym ja rodzic!.. Jad zawiści zatrzał serca moich córek, a zawiść ich przechodzi na mężów. Wiem

o tem. Nie wiem tylko, który z moich zięciów ulega podszeptom żony. Mówi mi głos stroskanej duszy, że z zawiści moich córek wykwitnie czarny kwiat nieszczęścia dla naszego narodu. W chwili, kiedy Szyszman śle mi co godzina gońca po gońcu,

błagając o pomoc, kiedy trzeba biedz szybko, bez namysłu i
wytchnienia naprzeciw
wroga, aby nie miał czasu wpaść na równinę Kosową, w chwili, kiedy
nasze wojska
powinny się zlać w jedno potężne ramię, spoglądają na siebie drużyny
moich
zięciów zezem, podejrzewając się wzajemnie o zdradę! Piekło
sprzysięgło się na
naród serbski, rozdmuchało i podnieciło rozmyślnie nasze kłótlive
usposobienie,
aby zdeptać naszą wolność! Nie od miecza zginiemy, walecznym jest
bowiem miecz
słowiański. Złamie nas pociąg do kłótni, zdruzgoce nas niezgoda!
Jeszcze nie domówił król ostatnich słów, kiedy do namiotu weszli
Branković i
Obylic z swymi podwodzami.
Badawczo spojrzeli na nich król i książęta.
Który winien? — pytały ich oczy.
Wojewoda Obylic, wysokiego wzrostu, smagły, przystojny, objął
kolana króla i
ucalował jego rękę. Szczerą miał twarz i uczciwą szczerością
uśmiechały się jego
niebieskie źrenice. Serdecznie, jak zwykle, witał się z książętami. Do
pychy i
podłości nie była zdolna jego dusza. Widział to każdy, kto umiał
czytać z twarzy
ludzkiej,

Wojewoda Branković, tak samo wysokiego wzrostu, smagły,
przystojny, jak Obylic,
objął także kolana króla, dotknął ustami jego ręki i witał się z
książętami. Ale
w jego ruchach nie było swobody, z jego śniadej twarzy i czarnych
źrenic nie
biła uczciwa szczerść. Błyski przebiegłości zapalały się i gasły w
tych
źrenicach, drwiący uśmieszek przemykał się po ustach.

— Zanim rozpoczniemy naradę wojenną, — odezwał się król, nie spuszczając, oka z zięciów, — chcielibyśmy się dowiedzieć, czy wiecie o plotce, która krąży w waszych obozach, i czy ją znacie. Obylicz uśmiechnął się pod jasnym wąsem. — Jakiemuś łotrzykowi — rzekł — przyszło na myśl posądzić mnie o tajne zмовy ze szpiegami sułtana. Niech go Pan Bóg za podłość ukarze! Szukać tego łajdaka nie będę. Niewart on mojego gniewu i trudu moich strażników. Plotki krążące po obozie zamilkną, gdy strzały tureckie zaczną świszcząć nad głowami żołnierzy. Mówił to tak obojętnie, jak gdyby opowiadał o jakimś błahym wypadku. Z ukosa spojrział na niego Brankowicz i zły błysk zamigotał w jego oczach. — A jednak radziłbym wam wyszukać owego plotkarza, jak donosiciela nazywacie, — odezwał się półgębkiem. — Na dnię plotek czaji się czasami prawda.

Bładość gniewu zbieliła twarz Obylicza.

— Śmielibyście mnie posądzić o zdolność do zdrady narodu, mnie, Miłosza

Obylicza, zięcia króla Serbji!? — zawołał głosem podniesionym.

— Bywają zięciowie, którzy zabijają teściów, — rzekł spokojnie Brankowicz.

— Jadowita żmijo! — wrzasnął Obylicz. — Za tę podłość odpowiesz mi na udeptanem polu!

— Z przyjemnością stanę z tobą natychmiast do walki, — odpowiedział Brankowicz z

drwiącym uśmiechem. — Za nierozważną krewkość należy ci się taka nauczka,

któraby twoją krew nazawsze
ostudziła.— Czci swojej bronić musi każdy rycerz serbski, ale nie
dziś, nie
jutro, — odrzekł Obylic, ochłonawszy z gniewu. — Obowiązkiem
naszym w tej chwili
bronić ziem słowiańskich, odeprzeć wroga od ich granic. Droższe mi
bezpieczeństwo ojczyzny, niż moja cześć własna! Rozprawę na
udeptanem polu
zostawmy na czas powojenny, jeśli nam Bóg pozwoli wrócić z wojny
z całą głową.
Dobry uśmiech okwiecił usta króla Łazarza. Nie może być zdrajcą
wojewoda, który
tak uczciwie przemawia, — pomyślał.
To samo wrażenie odnieśli książęta. Wszyscy otoczyli Obylicia i
ściskali jego
prawicę. Lubili go i szanowali. Radzi byli, że zrzucił z siebie błoto
podłego
oszczerstwa.

Jeden tylko Brankowić nie podzielał ich radości. Życzliwość, z którą
się
książęta zbliżali do Obylicia, obraziła jego pychę. Nikt nie stanął po
jego
stronie. Opuścili go wszyscy.
Spoliczkowana pycha najeżyła się, wyszczerzyła zęby.
— Krokiem ztąd nie ruszę, dopóki krew Obylicia nie zmyje z mojej
czci zniewagi!
— wybuchnął Brankowić. — Turek nie jest ptakiem, na lotnych
skrzydłach nie
przeleci przez góry. Będzie dość czasu powstrzymać jego rozpęd!
Daremnie przekonywał go król, że każda godzina zbliża wroga do
Pola Kosowego,
daremnie prosili go książęta, aby w tak ważnej chwili zapomniał o
własnej
urazie.
Zacięła się jego obrażona pycha.

— Albo Obylic stanie jutro ze mną do walki, albo wrócę z moimi ludźmi do domu! —
odpowiedział, opuszczając namiot króla.
Zrazu biegł szybko, ponoszony gniewem, w miarę jednak, jak zbliżał się do swego obozu, zwalniał kroku. Obok podszeptów pychy odezwał się w jego duszy głos drugi, — głos sumienia wojewody serbskiego. Był przecież dzieckiem ziemi, którą napastował wróg, był wodzem i opiekunem kroci swoich poddanych, których szczęście zależało od jego rozumu i waleczności, był chrześcijaninem, a jego wierze zagrażali muzułmanie. Kiedy tak szedł

pomału z głową opuszczoną, ścierały się w jego duszy dwa głosy, dwa prądy.
Obrażona miłość własna pchała go do zdrady, a obowiązek serbskiego wojewody cofał go z drogi zbrodni. Chwiały się jego myśli to w jedną, to w drugą stronę.
— Godziważ to rzecz, aby rycerz serbski bratał się z wrogiem swego narodu? —
napo, minało go sumienie. — Nie szanowałbyś siebie, swojej c/ci, gdybyś pozwolił się znieważać, — podburzała go pycha.
Szarpany wewnątrz walką, stanął przed małżonką, która trzymała się jego boku, jak kleszcz natrętny. Nawet podczas wojny nie opuszczała go. Mieszkała pod jego namiotem.
Zaledwie odchylił płótno namiotu, objęły go ręce wojewodziny i usta jej połączyły się z jego ustami.
— Czy stało się, jak postanowiliśmy?— pytała. — Dreszcz niepokoju wstrząsa mną

od chwili, kiedyś się udał na naradę. Mów, mów prędko! Nie ufam
twojej słabej,
chwiejnej woli.

— Jutro stanę do walki z Obyliciem, — rzekł Brankowić.

Wojewodzina klasnęła w ręce z radości.

— Miłuję cię za tę odwagę jeszcze więcej! — zawołała.— Położysz
na trawę tego
gagatka pana ojca i głupiego narodu, uprzątujesz go z naszej drogi do
władzy, do
korony. Wiem, że twój miecz i twój młot nie chybiają nigdy.

— Z przyjemnością będą patrzył na Obylicia tarzającego się w trawie,
ale

świadkiem klęski mojego narodu być nie chcę! Serbem jestem!

To rzekłszy, opuścił Brankowić namiot.

— Dziecinni są mężowie! — mówiła wojewodzina. — Zamiast
myśleć o sobie, mającą
o jakichś obowiązkach dla narodu. Muszę dopomóc chwiejnej woli
wojewody.

Kazała sobie okulbaczyć konia. Dosiadłszy go, popędziła galopem ku
górom. Nie

zdziwiło to żołnierzy. Wiedzieli, że królewska córka lubiła dalekie
wycieczki.

Wydstawszy się poza linię wojsk, przystanęła i rozglądała się
uważnie dokoła.

Bystre jej oko nie dostrzegło żywej duszy. Pusto było u podnóża gór.
Nawet

jelenie, sarny i zające, żerujące zwykle w tych stronach, znikły,
zaszyły się w

gąszcze lasów. Spłoszyła je wrzawa wojny.

Wojewodzina odpięła od paska mały, srebrny róg i przyłożyła go do
ust. Zadeła.

Poruszył się krzak jałowcu i wyczołgał się z ,niego szpieg Amurata.

— Spieszcie natychmiast do swojego pana i powiedzcie mu, żeby nie
zwlekał z

napaścią! — rzekła do niego prędko wo-jeAvodzina. — Jeśli zdąży
przełamać
szeregi bułgarskiego Szyszmana w przeciągu jednego dnia i spaść na
Kosową
dolinę, zwycięży niewątpliwie. Wojska serbskie, zajęte jutro
pojedynkiem
wojewodów, Brankowicia i Obylicia, zapomną o czujności.

Nietrudno będzie napaść na nie znienacka.
Zdjawszy z palca złoty pierścień, podała go szpiegowi.
— Przyjmijcie odemnie tę drobną pamiątkę. Należy się wam nagroda
za mistrzowskie
rozszerzanie wiadomości o zdradzie Obylicia. Psy gończe
bośniackiego księcia
szukały was daremnie, chociaż węszyły gorliwie. Ha-ha-ha!...
Szatańskim chichotem wiedźmy pożegnała wojewodzina Turka.

IV.

Przed namiotem króla Łazarza zgrzytały od samego rana piły i
łomotały siekiery i
młoty.
Żołnierze przygotowywali pole walki dla wojewodów. Wytyczywszy
rozległe półkole,
wysypali je piaskiem i otoczyli palami. Jedni ubijali ziemię, aby konie
zapaśników się nie potykały, inni ogradzali pole zwartym płotem, aby
ciekawi nie
przeszkadzali walczącym.
Z obu stron królewskiego obozu, z prawego i lewego skrzydła,
dolatywała wrzawa
tysięcy roznamiętnionych głosów, przelewających się z łoskotem
burzy z południa
na północ i z północy na południe. To wojsko żegnało swoich
wojewodów, życząc im
zwycięstwa i wygrażając przeciwnikowi. Ludzie Obylicia i
Brankowicia chcieli

towarzyszyć swoim wodzom

na miejsce orężnej rozprawy, ale rozkaz króla, obawiającego się bratobójczej

bitwy, nie pozwolił im opuścić wyznaczonych stanowisk.

Wojewodowie stanęli przed namiotem króla tylko z dwoma świadkami i służbą.

Czekał na nich stroskany Łazarz. Siedział na wzniesieniu, zbitem z desek. Z obu

stron zajęli miejsca książęta Bośni i Albańji.

Służba zapaśników badała uważnie nogi rumaków bojowych swoich panów, oglądała

strzemiona, popręgi i uździenice, ważyła w rękę ciężar kopij.

Już podniósł król czerwoną chorągiewkę, aby dać znak do walki, kiedy Obylic

stanął przed jego tronem i zawołał głosem potężnym:

— Jeszcze raz wzywam wojewodę Brankowicia do zgody! Hańbą jest dla rycerza

załatwiać spór osobisty w obliczu zbliżającego się wroga!

Brankowić milczał, uśmiechając się urągliwie.

Tchórz! Boji się o swoją skórę, — szeptali między sobą jego giermkowie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, dosiadł Obylic swego ogiera i wjechał na udeptane

pole.

— Nie oszczędzaj tego chytrego pyszałka! — podniecali go przyjaciele,

wojewodowie Kazańczyc i Topliczanin; — zdruzgocz łeb podłej żmiji! Niech jego

zatruty ozór zamilknie na zawsze!

Powiała czerwona chorągiewka, odezwały się rogi.

Zamilkł król, zamilkli książęta, zamilkła służba.

Wszystkie oczy wyteżyły się, śledząc ruchy zapaśników. Który z nich zwycięży?

Już przywarli" wojewodowie kopje do boku i unieśli się na strzemionach. Po

chwili rozległ się trzask skruszonych drzew i brzęk tarcz.

Widzowie czekali z zapiętym oddechem na skutek pierwszego starcia.

Obaj

wojewodowie siedzieli na koniach z takim spokojem, jak gdyby nic nie było

zaszło. Szybko przybiegli giermkowie, podając im nowe kopje.

Pięć razy rozległ się trzask skruszonych kopij, a wojewodowie wracali na swe

stanowiska nietknięci. Jeden i drugi uchylił hełmu, aby zachwycić powietrza i

wytrzeć oczy zalane potem. Odetchnawszy zawołali obaj: młot podajcie!

Wolno, ostrożnie, patrząc sobie w oczy, zbliżali się do siebie. Wolno, ostrożnie

okrażali się nawzajem, cofając się, albo postępując naprzód. Ruchy ich robiły

wrażenie tańca. .

Tańczyli tańcem mistrzów sztuki rycerskiej, obaj, znakomici szermierze i odważni

w boju. Śledzili ruchy swoje, czekali cierpliwie na chwilę stosowną do uderzenia. Nagle wzbiał się z pod kopyt galopujących ogierów tak gęsty tuman

kurzu, iż zakrył walczących. Daremnie wyteżali widzowie

wzrok ciekawy. Nie mogli nic dostrzedz. Słyszeli tylko łoskot młotów uderzających o stal i rżenie koni. Potem nastąpiła cisa. Gdy zrzędiał kurz,

opadając na udeptane pole, rozległ się rozpaczliwy krzyk ludki

Brankowicia. Pan

ich leżał pod brzuchem zabitego konia, a nad nim stał Obylic z podniesionym

młotem. Niech spuści młot na głowę zwyciężonego, a dusza jego
pójdzie przed sąd
Boga.

— Nie bójcie się! — zawołał Obylic. — Życia waszego wojewody nie
pożadam.

Broniłem tylko swego. Weźcie pana z całą głową i zmażcie jego winę
na krwawem

polu w boju za wolność ojczyzny!

To rzekłszy, opuścił Obylic pole walki, witany przez przyjaciół i
giermków

radośnym okrzykiem:

— Niech żyje Obylic!

Z głową zwieszoną, trawiony bezsilnym gniewem upokorzonej pychy,
otoczony

milczącym ze wstydu orszakiem swych ludzi, wracał Brankowić do
obozu. Gryzł po

drodze wargi aż do krwi. Smagała bowiem jego duszę podwójna
klęska. Młot

Obylicia rozwiął jego sławę niezwyciężonego rycerza, a
wspaniałomyślność

odstłoniła jego podłą zawziętość. On nie byłby darował życia
pokonanemu...

Znalazłszy się w swoim namiocie, nie śmiał podnieść oczu na
małżonkę. Złamany,

legł na ławie.

Wojewodzina nie pytała o wynik pojedynku. Wyczytała bolesne
sprawozdanie ze

zgarbionej postaci męża i z kurczowych drgań jego powiek i ust.

Dłuższą chwilę

stała bez ruchu, blada, niema, potem schyliła się nad mężem i rzekła
przez

zaciśnięte usta z sykiem jadowitej żmiji:

— Czy będziesz się jeszcze namyślał, po której stronie należy ci
stanać!? Narodu

swojego chcesz bronić, a ten twój naród serbski będzie ci teraz uragał,
wielbiąc
Obylicia! Chciałbyś służyć pod rozkazami swego zwycięzcy, którego
król posadzi
niewątpliwie na tronie, gdy jego ostatnia godzina wybije? Branković
całujący
Obylicia w rękę! Ha-ha-ha!...
Branković zerwał się z ławy.
— Niedoczekanie jego! — zawołał. — Okaże się jutro, kto
mądrzejszy, on, czy
ja!..

V.

Król Łazarz nie zmrużył tej nocy oka. Sen z jego powiek spłoszyła
troska o losy
Serbji. Zamiast na łożu, spędził noc na koniu. Sam objeżdżał
wszystkie straże,
sięgające aż do podnóża gór. Badał ich czujność.
Wczesny, szary świt poczynającego się dnia czerwcowego rozpraszał
szybko
ciemności krótkiej nocy. Wzrok króla usiłował przebić mgły górskie,
ucho jego
nachylało się, aby pochwycić szmery doliny. Nic nie dostrzegło oko,
nic nie
wpadało do ucha. Najlżejszy szelest nie zwiastował wroga.

— Niepotrzebnie trwożył się Szyszman, — pocieszał się król. —
Niech się moje
wojska dobrze wyśpią, żeby im nie zbrakło sił do walki.
Już chciał wracać do namiotu, kiedy na stokach gór zabłysły czerwone
ognie.
— Zapewne to ogniska ludzi Szyszmana. Śniadanie sobie gotują...
Ale te ognie rosły z każdą chwilą, zamieniały się w krwawe słupy,
owiane kłębami
dymu.

To nie były ognie obozowe. To paliły się domy, przyczepione do stoków gór Bałkańskich.

Nagle przerwała ciszę szarego świtu wrzawa licznych głosów ludzkich. Jakiś olbrzymi wąż, połyskujący złotem, miedzią i żelazem, wił się na stokach, zsuwając się z gór w dolinę.

— Idą! Bisurmany idą! Szyszman pobity! — jęknął król Łazarz.

Uderzył konia ostrogami i popędził do obozu.

— Trąbić na bitwę! Nieprzyjaciel tuż przed nami! — zawołał do swej straży przybocznej.

Zawarczały bębny, zahuczały rogi: Wstawać! Spieszcie się! Bisurman się zbliża!..

Zakotłowało się w obozach Łazarza i Obylicia. Żołnierze zrywali się z mokrej,

zroszonej trawy, przecierali oczy, chwyтали broń i biegli pod swe chorągwie.

Konie rżały.

Hasła królewskie, rozlewając się po rosie daleko i szeroko, dotarły także do

obozu Brankowicia. Ale jego żołnierze nie śpieszyli się, nie chwyтали broni i

nie biegli pod chorągwie. Czekali spokojnie na hasło swego wojewody. Już

rozwinęły się siły bisurmańskie i hufce Łazarza i Obylicia w szeregi bojowe

gotowe do walki, już wydawali naczelnemu wodzowi rozkazy, a Brankowić nie wzywał

swoich ludzi do krwawej roboty. Czyby tak twardo zasnął, że go bębny i rogi nie

zdołały zbudzić?

Daremnie oglądał się król na prawe skrzydło, czekając na gotowość Brankowicia.

Nikt się tam nie poruszał. A wierzchołki gór rozgorzały właśnie w pierwszym blasku wschodzącego słońca i w tym blasku złocistym mieniły się wyraźnie wojska Amurata, dotykające już piersiami Kosowego Pola. Nie było czasu do namysłu. Trzeba uderzyć natychmiast w sam środek wroga. Zadudniły bębny, odezwały się rogi, pieśń wojenna trysnęła z tysięcy piersi. — Chrystus z nami! — zawołał król i podniósł miecz. — Chrystus z nami! — wtórowały jego hufce i runęły z miejsca. Obylic, pochylony na koniu, śledził uważnie przebieg bitwy. Tak gęste chmury strzał posypały się z obu stron na walczących, iż zasłoniły słońce. Gdy rześisty deszcz świszczących pocisków ustał na

chwile, zauważył wojewoda, że prawe skrzydło wroga zwraca się ku środkowi, usiłując okrążyć króla. — Teraz czas na nas! — zawołał, dając znak mieczem. — Chrystus z nami! Zadudniła ziemia pod kopytami koni, zafurkotały chorągwie, wzbiły się tumany kurzu. Klinem wpadł Obylic w sam środek prawego skrzydła tureckiego, torując sobie po drodze krwawą ścieżkę. Znakomitych rycerzy miał pod swoją chorągwią. Miecze ich wytrącały z rąk Turków jatagany, przecinały syszaki, jak kruche garnki, rozłupywały czaszki. Suruml suruml (naprzód, naprzód!) — zagrzewali wodzowie Amurata swoich żołnierzy. Ale Turcy, przerażeni siłą ataku i sprawnością przeciwnika, zaczęli się cofać ku góróm. Odetchnął Obylic, odetchnęły jego hufce.

— Gdyby Branković chciał uderzyć jak najprędzej na lewe skrzydło bisurmanów,
byłaby bitwa na pół wygrana, — myślał. — Dlaczegoż zwleka?
Skierował konia na wzgórze, z którego można było objąć wzrokiem całą dolinę.
Uśmiechnął się z zadowoleniem, bo zauważył, że Branković szykuje swoich ludzi do bitwy. Spójrzył na środek wojsk Amurata. Tam pomieszały się szyki, przewalając się z miejsca na miejsce. Turek pchał Serba, Serb Turka. Święta chorągiew króla Duszana ukazywała się to tu, to tam. Chwiała się, jak chwieje się flaga okrętowa na wzburzonym morzu.

Obylic skoczył do swoich. Zrozumiał, że król Łazarz walczy z wrogiem potężnym.
Janczarowie, rdzeń, kwiat wojska tureckiego, brali się tam za bary z Serbami pod dowództwem samego cesarza Turków.
— Na pomoc królowi! — rozkazał Obylic. — Za mną!
Jak piorun wpadli jego rycerze w prawy bok środka tureckiego i jak piorun druzgotali ludzi i konie mieczami i młotami. Ale janczarowie nie uciekali przed ich siłą i sprawnością. Stali w miejscu, powstrzymując ich rozpęd jataganami. Z wielkim trudem pizepchał się Obylic do króla Łazarza, zostawiając po drodze wielu swych najlepszych wojaków. Wał poległych rósł z każdą chwilą z obu stron.
Topniały hufce serbskie, topniały szeregi tureckie, ale do nich spływały z gór nieustannie nowe posiłki.
Wreszcie za plecami Serbów odezwały się trąby bojowe. Obylic obejrzał się. To szedł Branković ze swemi hufcami.

— Nareszcie! — zawołał Obylic. Nagle zbladł... Grad strzał obsypał jego
ludzi z tyłu.

To zdrajca Branković ze swoim wojskiem, zamiast na Turków,
natarł od tyłu na
wojsko Obylicia.

— Zdrada!! — krzyknął z rozpaczą Obylic, — bratobójcza zdrada!!
Jesteśmy ze
wszystkich stron otoczeni!

Uderzył ogiera ostrogami, pochylił się na jego karku i wparł się w
mrowisko
bisurmańskie.

Słońce 16 czerwca 1389 roku miało się ku zachodowi. Ostatnie jego
blaski padały
na Kosowe Pole, zasłane stosami trupów. Leżał Serb obok Turka,
wojewoda obok
żołnierza, księżęta tureccy obok janczarów. Śmierć zrównała
wszystkich.

Wolnym krokiem szedł przez krwawe pole cesarz Turków Amurat w
otoczeniu dowódców
swych wojsk. Obliczał straty gorącego dnia. Wielkie były, drogo
opłacił

zwycięstwo. Połowa jego wojska zginęła.

Zatrzymał się przed kłębem poległych Serbów. Tu spoczywał snem
wiecznym król

Łazarz, tuląc do zastygłej piersi świętą chorągiew Duszana.

Amurat pochylił się nad zwłokami króla Łazarza. Drwiący uśmiech
wykrzywił mu
usta.

— Skończyło się twoje panowanie, dumny chrześcijaninie! — urągał
pokonanemu,—

zgasła z tobą świetność Serbji!

Obok króla leżał Obylic. Krew sączyła się z jego boku, sina bladość
ostatniej

godziny zmasała z jego twarzy barwy życia. Ale dusza nie opuściła
jeszcze
młodego ciała.

— I ty tu, niezwyknięzony wojewodo!? — cieszył się cesarz turecki. —
Zdawało ci

się, że zdruzgoczesz miecz Amurata, głupi chrześcijaninie! Amurata
nie doścignie

miecz chrześcijańskiego sługi! Zasłania go ręka wszechmocnego
Ałłacha i proroka

Mahometa. Zdechnij, psie niewierny!

Wtem stało się, czego się nikt nie spodziewał. Krwią oblany Obylic
zerwał się z

ziemi na nogi, ujął miecz w obie ręce i spuścił go na głowę Amurata z
taką siłą,

że jego czaszka rozleciała się na dwie połowy.

— Opowiedz w raju Mahometa, pyszny Turku, jak giną Serbowie! —
rzekł i runął na
trawę.

Jego czysta dusza uleciała w inne, lepsze światy.

Sułtan Bajazet, syn i następca Amurata, dotrzymał obietnicy ojca i
zagarnąwszy

Serbję pod swe panowanie uczynił Brankowicia jej wielkorządcą.

Niedługo jednak cieszył się małżonek Wukasowej owocami zdrady..

W siedem lat po

bitwie na Kosowym Polu zginął śmiercią hańbiącą. Sami Turcy
udusili go, gdy im

zawadzał (w roku 1396).

Obrażona miłość własna jednej złej kobiety zburzyła wolność całego
narodu na

kilkaset lat.

KONIEC.

